

# Łukasz Pawłowski

---

## I otrze Bóg z ich oczu wszelką łzę...

---

Rocznik Chojeński 3, 267-270

---

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

\* \* \*

*Łukasz Pawłowski*

Gesamtschule TALSAND w Schwedt/Oder

LO przy Zespole Szkół Ogólnokształcących w Gryfinie

## I otrze Bóg z ich oczu wszelką łzę...

*Pan Marian, szczerzy, lubiący żartować i otwarty na świat człowiek urodził się drugiego czerwca 1931 roku w szlacheckiej rodzinie w Potasznii, nieistniejącej obecnie wsi na południowych krańcach Polski. Był siódmym z dziewięciorga dzieci Agnieszki i Józefa Pawłowskich i siódmym męskim potomkiem rodu. Gdyby w 1938 roku ktoś mu powiedział, że odbędzie podróż swojego życia i osiadzie na stałe na ziemiach Pomorza Zachodniego, nie uwierzyłby.*

– Był wrzesień 1939 roku, tak, to był początek szkoły, a ja sam miałem rozpocząć naukę w trzeciej klasie – opowiada Pan Marian. – Niemcy zaatakowali Polskę. Potasznia leżała przy granicy z Ukrainą. Wojna nadeszła tu późno (...). Nie pamiętam dokładnie, kiedy stało się to najgorsze. Pracowałem u brata. Z nim też mieszkaliśmy. On był żonaty. Marcel... Niedaleko domu, w którym przyszedłem na świat, znajdowało się jego gospodarstwo. Wieś zaatakowali Niemcy. Wjechał czołg lub chyba nawet kilka, już nie pamiętam za dobrze, to tyle lat... Nic nie mówili, abyśmy cokolwiek zabrali ze sobą lub coś takiego. Po prostu załadowali naszą rodzinę do samochodu. Mamusi to nawet nie widziałem. Tato był w tym czasie w polu. Weszło dwóch mundurowych do domu mego brata. Ryczeli jak zwierzęta: „Raus, raus!”. Nie trzeba było rozumieć ich języka, samo grożenie bronią i gesty mówiły wszystko. Rodziców nie widziałem już później. Mój brat, jego żona i ja. Razem zabrali nas na wóz. Odjechaliśmy tylko z walizką, szybko chwyconą przez brata. Nawet nie wiem, co w niej było. Oprócz nas w ciężarówce byli inni mieszkańcy wsi. Wszyscy mieli strach w oczach. Rozmawiać nie mogliśmy, bo co się kto odezwał, był bity strzelbą w twarz. Toteż jechaliśmy i jechaliśmy w milczeniu (...).

Cała noc zeszała i jeszcze dzień zanim się zatrzymaliśmy. Ustawiono nas w nieregularnym szeregu. Rozdzielili mnie i moich opiekunów. Wszystkie dzieci zabrano razem. Szliśmy, płacząc i myśląc, czy kiedyś zobaczymy jeszcze naszych bliskich. Były jakieś budynki w tym lesie, do którego nas zabrano. Nie pamiętam, jak się to stało, ale ktoś złapał mnie za nogi i zanurzył w kadzi pełnej wody. Zresztą nie tylko mnie. Wszystkie dzieci były topione. Chyba sprawdzali naszą wytrzymałość. Nie mam pojęcia. Po którymś razie zemdląłem (...).

Obcięto mi wszystkie włosy, ubrano w paskowy strój. Mieszkalem w baraku pełnym dzieci w moim wieku, ale też starszych i młodszych. Spałem na drewnianej pryczy na górnym poziomie z pięcioma innymi chłopakami. Co noc słyszałem szlochy i co noc sam lkałem. Modliłem się z całego serca i prosiłem Stwórcę, by miał mnie w swej opiece.

Pewnego razu, a była cholernie mroźna zima, około godziny piątej zrobiono nam pobudkę. Ustawiliśmy się w rzędzie. Coś szwargotano. Chyba mało kto rozumiał. Było tak zimno, że stopy przymarzały mi do ziemi. Nie czułem własnych myśli. Oddano trzy strzały. Jeden chłopak nie wytrzymał. Zaczął biec. Padł. Podobnie dwóch innych. Wyczytano moje nazwisko. Ja stałem. Stałem w tej śnieżycy. A prószło diabelsko mocno. Nie ruszyłem się z miejsca. Drugi raz echem poniosło się moje nazwisko. Podszedł do mnie jakiś mundurowy. Dostałem w twarz. Nic nie poczułem. Złapał mnie za rękę i pociągnął. Upadłem na ziemię i czułem tylko ciepło. To krew. Krew z moich stóp i złamanego nosa. Zabrano mnie z innymi. Wrzucono do wagonu. Jak psa. Choć ich psy były traktowane jak książęta. Przez zamrożone rzęsy widziałem niewiele. Tylko czarny dym unoszący się nad krematorium. Ktoś złapał mnie za rękę i przytulił. Nie wiedziałem, kto. Szyny ugięły się pod ciężarem pociągu. Zaskrzypiało i gwizdek dał znak do odjazdu. Ostatnie co widziałem to spadające białe płatki śniegu i drwiący uśmiezek Monsieur SS.

Jechaliśmy ze dwa lub trzy dni. Poznałem dziewczynkę, która była nieco ode mnie starsza. To ona mnie wtedy wzięła za rękę do siebie. W wagonie były same dzieci. Jechaliśmy bez końca. Swoje potrzeby załatwialiśmy w wagonie. Nie było postojów. W kuszecie panował mróz straszny. A podmuchy wiatru przez nieszczelne deski powodowały, że większość zmarła. Ja sam myślałem, że odejdę. Plakałem, kiedy zamarzała moja dopiero co poznana koleżanka. Lecz lzy zamarzały, więc opanowałem emocje. Kiedy wreszcie się zatrzymaliśmy, zobaczyłem napis „Gross Rosen”.

Nie spędziłem tu zbyt wiele czasu. Nawet nie wiem dokładnie ile. Lecz spotkałem brata. Moje serce rozpromieniło się ogromnie. Plakałem, padając w jego objęcia. Następnym transportem jechałem już z Marcelem i jego żoną. Bóg wysłuchiwał moich prośb.

Kiedy nasz pociąg zatrzymał się w Bergen Belsen, wysiadłem wraz z bratem i jego żoną. Przyjechał po nas jakiś bogato wyglądający pan. Nosił kapelusz, lecz w butach miał słomę. Była to rzecz, która mnie nieco rozbawiła, chyba pierwsza podczas wojny. Nie pytając nas o nic, rzekł, abyśmy udali się za nim. Odprowadzało nas dwóch policjantów. Wsiadliśmy na wóz i pojechaliśmy. W sumie nie było strasznie. Przez ten okres pracowałem u tego niemieckiego gospodarza na roli. Pasłem owce, czyli robiłem to, co dobrze umiałem, gdyż od małego tatuś

uczył mnie bycia pasterzem. Sami mieliśmy zresztą niemałe stadko owiec. Mój brat zajmował się rolą i pomagał od świtu do nocy w dojeniu krów, obrządkach, rąbaniu drewna na opał. Jego żona zajmowała się sprząaniem, ogrodem. Inne kobiety z transportu musiały wykonywać ciężkie prace, nosić worki ze zbożem do spichrza czy wywalać obornik od kur, świń. Nasz gospodarz był miły. Uśmiechał się, uczył mnie niemieckiego. W sumie to na początku się go bałem, ale nawet brat i bratowa go polubili. Czasem nawet zjedliśmy z nim wspólny obiad. Był to *guter Mann*.

Wojna dobiegała końca. Z końcem wiosny 1945 roku alianci zajmowali Rzeszę. Bombardowali wioski, a ich głównym celem był Berlin. Wojska alianckie zawiły do obozu Bergen Belsen. W miasteczku Amerykanie rzucali cukierkami. Rozdawali ubrania, prowianty, konserwy. Dostaliśmy wybór. Szansę na nowe życie. Z Amsterdamu mogliśmy płynąć do Nowego Świata albo wracać do domu. Miałem czternaście lat. Mój brat z żoną postanowili powrócić. Cóż mogłem zrobić? Udałem się razem z nimi. Zresztą mój brat obiecał, że jeszcze zobaczę mamusię.

Rzeczywistość okazała się inna. Wprawdzie zostaliśmy odwiezieni na granicę, jednak to, co nas tam spotkało, różniło się od tego, cośmy sobie wyobrażali. Nie mieliśmy szansy na odwrót. Rosjanie zabrali nam wszystko. „Wy nie wojowali, tylko my” – powtarzali. Cały prowiant, wszystkie ubrania i rzeczy, jakieśmy dostali od Aliantów. Z Legnicy udaliśmy się do Wrocławia. Tu przebywał nasz brat Czesław. Obwieścił nam, że nasza mama znajduje się w jakiejś wsi pod Szczecinem. Wsiadliśmy w pociąg i razem udaliśmy się do Gryfina. Miasto było zniszczone. Kiedy wysiedliśmy, powiedziano nam tylko: „Idźcie i szukajcie sobie domu”. Aż do Gardna maszerowaliśmy pieszo. Tu jakiś gospodarz jechał do Drzenina i zaferował, że nas podrzuci. Stąd podążaliśmy pieszo do Babina. Byłem totalnie oniemiały z wrażenia. Nasza mama była niedaleko! Nie mogłem się doczekać spotkania. Biegłem przodem i podskakiwałem. Doszliśmy do Parsowa. Znajdowało się tu wiele pustych domów i każdy mógłby wybrać coś dla siebie. Po około kilometrze drogi dotarliśmy do Babina. Tu odnaleźliśmy naszą kochaną mamusię i rodzeństwo. Powiedziała nam, że ciągle się za nas modliła i była *bona fide*, że powrócimy. Płakała cały wieczór, kiedyśmy jej opowiadali, co się nam przytrafiło. Jednak nasze serca czekała jeszcze przykra wiadomość. Nasz tato zmarł podczas wojny na ciężką chorobę, prawdopodobnie zawał serca, a jeden z moich braci zginął na froncie wschodnim.

Tu, w Babinie, rozpoczęło się dla nas nowe życie. Dom był wielki, obo-  
ra mogła pomieścić z pięćset sztuk owiec. Nawet jezioro było widoczne z okna  
kuchni od strony podwórza. Moja mamusia zmarła w 1954 roku. Moi bracia  
zaczęli się powoli wyprowadzać, a póki mieszkaliśmy razem, to musiałem we

wszystkim pomagać. W 1952 ożeniłem się. W Polsce zaczął się czas komunizmu, a życie podczas niego to już zupełnie inna historia...

*Siedziałem słuchając w skupieniu. Łzy mi płynęły. Zdawałem sobie sprawę, iż wojna była straszna, ale nigdy nie dowiedziałbym się, że aż tak dotknęła moją rodzinę, gdyby nie opowieść Pana Mariana. Co było dla mnie ciekawe, nigdy nie powiedział niczego złego o naszych zachodnich sąsiadach, nie miał nic przeciwko małżeństwu swojej córki z Niemcem. Pan Marian to mój dziadek. Z nim pierwszy raz pojechałem do Niemiec na wakacje. To on mi opowiedział tę historię, którą pamiętam i której nigdy nie zapomnę...*